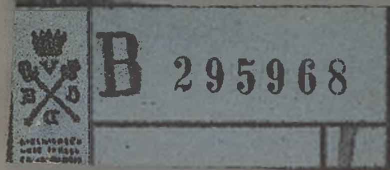




WACŁAW
SIEROSZEWSKI

PRZELOTNE PTAKI

RÓJ





WACŁAW SIEROSZEWSKI

PTAKI PRZELOTNE



WARSZAWA *1936*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"



Zakłady Wyd.-Druk. „PRACA“, Kredytowa 2/4. Tel. 660-70.

Było nas dziesięciu wygnańców. Wygnali nas Moskale daleko na północ i osadzili u stóp „Tronu Zimy“*) dlatego, żeśmy chcieli wolności dla naszej Ojczyzny. Kraj wokoło był posępny, pusty, pokryty lasami i bagnami, osiem miesięcy w roku skuty lodem i zasypany grubo śniegiem. W czasie zimy słońce przez wiele dni nie ukazywało się wcale na niebie i noc czarna, długa i mroźna wisiała nieustannie nad zie-

*) Kraje podbiegunowe.

mią. Wtedy, skuleni przy płonących ogniskach w chatach ciasnych, dusznych i brudnych — tęskniliśmy straszliwie do ciepła, do światła, do gwarnego, ruchliwego życia, jakie otaczało naszą kolebkę... Słodkie twarze matek naszych i ojców, braci, sióstr i przyjaciół wypływały przed nami wśród mroku, wabiąc nas dobrotliwym uśmiechem; dźwięki ich głosów rozbrzmiewały w naszej stęsknionej pamięci, budząc w sercu bolesne drżenie... Wychodziliśmy wtedy przed chaty i spoglądali z odrazą na zimne, surowe niebo, obcemi usiane gwiazdami, na nieprzejrzany, biały całun szronów i zasp śnieżnych, po których przepływały niespokojnie różowe lub zielo-

nawe cienie zorzy północnej, nikłe i zwiewne, jak duchy...

W te noce tęsknoty narodziło się w nas niezwalczone pragnienie ucieczki, ucieczki choćby za cenę życia!

Przepływała przez tę miejscowość duża rzeka Jana. Przyszło nam do głowy, że możemy potajemnie wybudować wielką łódź i uciec wodą. Wprawdzie rzeka płynęła na północ, ku biegunowi, a Ojczyzna nasza leżała na południu, lecz Jana wpada do Oceanu Lodowatego i liczyliśmy na to, że brzegiem morza, rozpiąwszy żagle, uda się nam dotrzeć do Ameryki, a stamtąd, zwykłą drogą, do Polski.

Mieliśmy przyjaciół, również wy-

gnańców, którzy mieszkali o milę za miasteczkiem, na brzegu rzeki. Tam, zdala od oczu pilnujących nas kozaków, całą zimę gromadziliśmy pocichutku długie, cienkie deski na obszycie łodzi, żelazne i miedziane nity dla ich złączenia, bloki do żagli, okucie do steru i inne rzeczy, potrzebne w żegludze... Piekliśmy suchary, suszyli mięso, aby zrobić z niego „pemiken“ — proszek mięsny, który zalany tłuszczem, doskonale przechowuje się na morzu w blaszanych lub drewnianych beczułkach.

Zbliżała się wiosna. Słonko przygrzewało coraz mocniej, wydłużał się dzień, skracała noc. Śniegi szybko tajały i czarna ziemia obnażała się na bokach wzgórz, zwróconych

do słońca. I natychmiast, tuż obok rozmokłych lodów i śniegów, wytryskały z wilgotnej, ciepłej gleby zielone ździebełka młodej trawy i pierwiosnek polarny roztulał swoje blado-żółte lub różowe kielichy. Cicho szemrały strumyki śniegowych roztopów. Wiał ciepły wietrzyk, nasycony wonią żywicy budzących się lasów...

W nocy jednak wracał mróz, szron pokrywał wszystko srebrzystą koronką i zncwu zamierał, jak w zimie, wszelki ruch i dźwięk. Lecz noce stawały się coraz krótsze, niebo coraz bledsze, gwiazdy na niem coraz niklejsze, aż wreszcie noc znikła, jej zmrok zamienił się w mleczny świt, z różową zorzą na widnokręgu

tam, gdzie zaszło słońce i skąd niezadługo znów wypływało złote i czyste... Takie są podbiegunowe „białe noce" wiosenne!

Krótkie jest lato tamtejsze, a wiosna trwa ledwie dni dziesięć. Zato płynie burzliwie, jak wodospad... W oczach zmienia się biały, zimowy krajobraz na pstry, w oczach zielenieją polany, rozkwitają kwiaty, lasy pokrywają się mgłą świeżych igieł i listeczków, pienią się potoki, błyskają w słońcu kałuże wody i wietrzyk marszczy drobnemi falami ich lustrzaną powierzchnię... Z dniem każdym, z każdą godziną rośnie ruch, rośnie gwar... I puste do tej pory łąki, rzeki i jeziora obsiadają roje ptaków... Już dawno przy-

latały oddzielne ich gromadki na wywiad, ale, widząc wszędzie jeszcze białe śniegi, chyżo wracały na południe, wstrzymując stada swych braci, czekających za górami na wiosnę. Dopiero, kiedy słońce i wiatr południowy podarły na strzępy lodowe całuny, kiedy obnażyły się czarne, błotniste żerowiska, kiedy muszki i żuczki, obudzone ciepłem, wypełzły ze swych zimowych kryjówek — podniebie wypełniało się, gęstemi pułkami lecącego ptactwa, a cisza pustyni wrzawą ich głosów. Chmary ich opadały na ziemię, żeby wypocząć, posilić się, ale jeszcze większe zastępy leciały w dal, wyciągnąwszy przed siebie dzioby, a za siebie łapki... Powietrze

drżało od łopotu ich skrzydeł; wrzawa ich głosów: poświstów, gęgań, klekotów, kwakań i gruchań — tłumiła wszystkie dźwięki ziemi, jak olbrzymi chór, śpiewający w upojeniu chwałę wiosny, szczęścia, życia, słońca i wolności...

My, wygnańcy, rozumieliśmy je doskonale i większą jeszcze stawała się nasza tęsknota...

Przymrużonemi oczyma wpatrywaliśmy się w przepojone blaskiem słońca błękity, gdzie niby chmury liści, pędzonych przez burzę, leciały obłoki ptaków wędrownych... A każda ich odmiana miała swój głos, swój szyk odmienny i odmienny polot. Białe łabędzie leciały w milczeniu najwyżej, ciężko i wolno, po-

dobne do sznurów dużych pereł. Szare gęsi tworzyły trójkąty z tyłu otwarte i wciąż grały. Podobnie leciały żórawie. Kaczki to zwijały się ruchliwem, niespokojnem kołem, niby różaniec, potężną ręką ciśnięty w przestworza, to leciały zbitą, szumną, płaską ławicą. Drobne ptactwo mknęło zwichrzonemi rojami bez ładu i naczelników...

Myśmy też gotowali się do odlotu. Przewieźliśmy nasze zapasy żywności, rzeczy, narzędzia i przybory za rzekę, gdzie miała być zbudowana łódź. Czekaliśmy tylko, aż ruszą lody na rzece. Wtedy płynąca gęsta kra zabezpieczała naszych majstrów od napadu kozaków z miasteczka i mogli oni po tamtej stronie spokoj-

nie, na samym brzegu rzeki, złożyć i znitować naszą szalupę.

Rzeka jednak spała dalej swoim zimowy snem, nieruchoma w głębokim wądole, pod kryształowym, sążniowej grubości pancerzem lodowym. Wprawdzie szalejąca dokoła wiosna wrzucała wciąż do jej łożyska niezliczone kaskady wody, wprawdzie wody te zmyły już z sinego jej pokrycia ochronne śniegi, wprawdzie słońce prześwidrowało w niej gęsto dziury, a wartkie prądy potoków, płynących wzdłuż piasków nadbrzeżnych, wyjadały w jej lodach głębokie szczerby, lecz wciąż jeszcze można było przejść bezpiecznie po zimowym jej moście i myśmy wciąż z trwogą spoglądali, czy nie

zjawią się na tym moście kozacy, czy nie wyśledzili czasem naszej łodzi, ukrytej na tamtym brzegu w zaroślach. Część wygnańców przeniosła się tam również, aby tej łodzi bronić i w chwili odpowiedniej zabrać się zaraz do roboty. W miasteczku pozostało jedynie paru, którzy palili w piecach, żeby z kominów szedł dym, głośno śpiewali i hałasowali, udając, że ich jest dużo, aby ukryć nieobecność innych.

A tymczasem nadstawiali uszu, czy nie rozlega się czasem huk pękających na rzece lodów...

Nareszcie pewnego słonecznego dnia rozbrzmiał w dolinie, głusząc wszystko, groźny pomruk, a następnie zagrzmiały jeden za drugim po-

tężne łoskoty, podobne do bicia z dział. Lody ruszyły. Ci, co byli w miasteczku, pobiegli nad brzeg rzeki, aby się o tem naocznie przekonać.

— Lody ruszyły!... Lody ruszyły... — powtarzali pełni radości.

Paru miejscowych rybaków, którzy również przyszli śledzić za przepływaniem kry, spoglądało na nich ze zdziwieniem.

— Tak, tak!... Lody ruszyły!... Co rok ruszają!... — zauważyli obojętnie.

Ogromne bryły lodu z początku sunęły wolno zwartemi polami, ale rychło bieg ich zwiększył się, zaczęły pękać, naskakiwać na siebie, bodąc się, topić się wzajem i druzgo-

tać... Łoskot zderzeń, chrzęst łupanych i gniecionych lodów, bełkot i pomruki wody, szum wirów, ryk urwistych brzegów, oranych przez boki na sztorc postawionych ławic lodowych — wzrosły do niesłychanego stopnia tak, że zagłuszyły wszystkie dźwięki ziemi: i klangor przelotnego ptactwa, i głosy ludzkie i szum wiatru. Wygnańcy jednak wśród tego huku, ryku i strzelaniny rozróżniali doskonale cienkie, miarowe, jak kucie dzięciołów, uderzenia młotów po żelazie — to ich towarzysze nitowali za rzeką zbawczą łódź. Lęk ich ogarnął, żeby nie usłyszeli tego kucia kozacy, więc natychmiast wrócili do miasteczka i, śpiewając i hałasując w swych mieszka-

niach, udawali znów, że ich jest dużo. Aż rzeka oczyściła się od kry. A wtedy na maluchnej łódeczce przepłynęli na drugi brzeg i wsiedli do gotowej już łodzi, ukrytej w zalanych powodzią wiklinach.

Łódź była przepiękna, więc nazywaliśmy ją „Królewną". Silnie wiosłując, wyprowadziliśmy ją na środek nurtu i popłynęli na północ, unoszeni chyżo przez potężny prąd. Resztki spóźnionych ptaków przelotnych mknęły śladem za nami po podniebiu, dopędzając silniejszych towarzyszy, już dawno osiadłych na wolnych letniskach Oceanu Lodowatego.

Myśmy też tam dążyli...

Rzeka wezbrana, mętna od niezliczonych potoków wody śniegowej, zlewających się do jej łożyska z okolicznych gór, niosła nas lekko, jak piórko. Co chwila na zakrętach otwierały się śliczne widoki na zieleniejące już lasy, na sine przełęcze i białe jeszcze od śniegów szczyty, przeglądające się w lustrzanej wstędze wody. Pogoda sprzyjała, słońce łagodnie złociło błękity. Zdawało się nam, że nikt nas nie spostrzegł i że ucieczka powiedzie się nam wybornie. Wtem urwista, wysoka skała zastąpiła nam drogę. Spieniona rzeka z groźnym pomrukiem biła w jej kamienny bok. Potężny prąd nas porwał i niósł wprost na skałę, groziło nam rozbicie.

— Uderz, uderz mocniej, tylko lewemi wiosłami!... — rozkazał sternik, daremnie usiłując łódź sterem nawrócić!

Wytężyliśmy wszystkie siły, długie wiosła wygięły się, jak patyczki, ...ale łódź oparła się prądowi i przemknęła tuż pod strasznym „bykiem“ — tak nazywają tutaj wystające wprost z wody skalne urwiska. Od tej pory nie baliśmy się już „byków“. „Królewna“ okazała się zwinną, posłuszną sterowi łodzią. Płynęliśmy bez przerwy, dzień i noc, gdyż nocy czarnej tu już nie było i cały czas świecił nam dzień... Sypialiśmy na zmianę, po czterech wioślarzy, a jeden z nas stał u steru. Przed sternikiem na pokładzie szumiał nieu-

stannie samowar i pracownicy posilali się po kolei gorącą herbatą z sucharami. Po paru dniach nabraliśmy takiej wprawy, że, aby nie tracić nadaremno sił i czasu na walkę z prądem, przepływaliśmy tuż tuż pod skałami „byków“, ocierając się nieledwie o ich piersi. Nie trwożyły nas już ani rycząca chełbia fal, ani spienione skręty wirów... Wiedzieliśmy, że „Królewna“ wszystko zwycięży. Zato pojawienie się nasze wywoływało zwykle straszną wrzawę wśród gnieżdżącego się na gzemsach skał ptactwa. Roje grzebieluch (ziemnych jaskółek) wylatały ze świergotem z niezliczonych otworów swych gniazd, pstrzących wiszary do samego szczytu. Stada wielkich,

różowych rybitw, biało-czarnych czajek oraz innych ptaków różnych kształtów i barw długo nieraz po naszym przejeździe krążyły z nieopisanym piskiem i krakaniem u czoła zadumanych opok. Raz spłoszyliśmy niedźwiedzia, który w zamyśleniu stał na krawędzi urwiska, zapatrzony w wodę. Spostrzegłszy pod sobą nagle łódź z ludźmi — niewidziane dotąd widowisko — podniósł się w zdumieniu na tylne łapy. Ale nawet nie ryknął. Słyszeliśmy tylko, że tam w górze szumi wiatr i trzepocze drzewami, kłoniącemi ku nam swe pnie, gałęzie z krawędzi podmytych gór, a wokoło nas, w dole, szemrała rzeka... Było nam dobrze, czuliśmy się wolni, nie śledziły nas

już żadne złe, podejrzliwe ludzkie oczy... I dlatego często śpiewaliśmy do taktu wioseł:

Noc głęboka nad ziemią zapadła,
Śpią spokojnie i wrogi i straże,
Wypłynęła na wody zwierciadła
Łódź, spowita w wolności miraże...

Oj, nie ciesz się, sterniku zuchwały,
Jeszcze liczne czekają przygody,
Oddzielają cię wiry i skały
Od świetlanych przybytków swobody!
Oddzielają cię burze, tumany,
Szkielet głodu czatuje na drodze!...
Statek płynie po nurtach strzaskany,
Klekcząc smętnie o znikłej załodze...

Więc, sterniku, sokole twe oczy
Niech szukają uważnie w oddali

Gwiazd przewodnich na morskiej roztoczy,
Dróg otwartych wśród lodów na fali...

Im dłużej płynęliśmy, tym większa ogarniała nas radość, gdyż byliśmy pewni, że już kozacka moc nas nie dosięgnie, że nikt nas nie odszuka w tych pustyniach...

Nagle rzeka, płynąca dotąd korytem, rozwidliła się na dwie odnogi. Zanim wybraliśmy, w którą się skierować, prąd z szaloną siłą uniósł nas i rzucił niespodzianie na kamienistą ławicę, poprzez którą rzeka przelewała się z łoskotem, bałwaniąc jak wrzątek, „Królewna" zawadziła o głazy podwodne, w mgnieniu oka została skręcona wpoprzek i powalona prądem na bok. Wszystko, i

ludzie, i ciężary, i pościel, i ptaki z sucharami i kipiący samowar, poleciały w tę stronę. Krzyk przerażenia wydarł się z ust ludzi, skłębionych na dolnym boku łodzi, gdyż czuby spienionych bałwanów zasyczały w górze nad ich głowami. Fale z rykiem próbowały przeskoczyć po kadłubie przekrzywionej łodzi, dostać się do jej wnętrza i zalać ją. Szczęściem, że było płytko, wyskoczyliśmy i podparliśmy „Królewnę“, nie dając jej falom ostatecznie opanować i potoczyć. Postawiliśmy ją na „kilu“*) i z wielkim trudem ob-

---

*) Gruba deska, przymocowana na sztorc do dna, pomaga przy sterowaniu i żeglowaniu statkiem.

rócili wzdłuż prądu tak, że nie mógł jej już wywrócić, lecz przeciwnie, uderzając w tył, w rudel, pchał ją dziobem naprzód przez ławicę. Ale pęd wody był tu tak gwałtowny, toczył taką masę żwiru i kamieni, że rychło przed łodzią, pod jej ochroną, utworzyła się cała ich zaspa. W dodatku kamieniska tłukły nas po nogach i przeszkadzały pracować. Przekonaliśmy się niebawem, że żadne wysiłki nie pomogą, że musimy łódź wyładować i dopiero pustą może się nam uda przez kamienny próg wodospadu przeciągnąć. Zaczęliśmy więc ostrożnie przekładać nasze skrzynki z „pemikenem“ i sucharami do maluchnej łódeczki, którą prowadziliśmy z bo-

ku „Królewny“ na cumie*). Kiedy po raz pierwszy jeden z nas puścił się w tej skorupce przez skłębione, ryczące bałwany, dech nam zaparło ze wzruszenia. Gdyby żywność wpadła do wody i zatonęła, groził nam głód i wyprawa nie udałaby się... Szczęśliwie jednak przepłynął wśród piany i huku wirów, powrócił i zabrał znowu część rzeczy... W ten sposób ulżyliśmy łodzi i udało się ją zepchnąć na głębinę. Byliśmy jednak tak zmordowani pracą w lodowatej wodzie, zziębnięci, wygłodzeni, że postanowiliśmy rozpalić wiel-

---

*) Cuma — sznur, służący do przywiązywania statków; „zacumować“ — przywiązać statek dwiema linami do przystani.

kie ognisko, ogrzać się, osuszyć i posilić. Po raz pierwszy od kilku dni wyciągnęliśmy się na posłaniach przy ciepłem ognisku i ugotowaliśmy sobie ciepłej strawy. Zupa z pemikenu, zaprawiona tartemi sucharami, była wyborna.

Od tego dnia zaczęły się nasze niepowodzenia. Prawie tydzień tułaliśmy się z kraju w kraj po obszernej dolinie, wypełnionej przez powódź tysiącem rwących potoków, wściekłych spadów i wirów, przerzucani nurtami z ławicy na ławicę, z mielizny na mieliznę. Przekonaliśmy się, że „Królewna" jest wygodna, ale trochę za duża i za ciężka na nasze słabe siły, że zbyt jest przeciążona ładunkiem węgla, który

wzięliśmy ze sobą, żeby mieć opał dla gotowania strawy na bezleśnych brzegach morza. Musieliśmy często wyładowywać łódź, żeby ją przeprowadzać przez skalne progi i, kiedy wydostaliśmy się wreszcie na głębsze wody, mieliśmy dużo doświadczenia, ale mało sił. Wielu z nas z przeziębienia i od tłustego pemikenu rozchorowało się na żołądek. Kiedy zaczęły wiać silne wichry od morza, nie byliśmy w stanie pokonać go wiosłami, musieliśmy wysiąść i holować statek na sznurach... Brzeg był dziki, miejscami zawalony głazami, miejscami bagnisty lub krzaczasty, kupy gnijącego chróstu i zwalonych drzew utrudniały niezmiernie drogę tak, że posu-

waliśmy się bardzo wolno i coraz częściej widzieliśmy z tyłu, poza nami, dymy palących się ognisk.

Myśleliśmy, że to są dymy naszych własnych, niedawno porzuconych i źle zagaszonych ognisk. Do głowy nam nie przychodziło, że to jest pogoń...

Nadomiar złego dopędziliśmy zimę. Coraz częściej spotykaliśmy na rzece spóźnione kry, mokry śnieg z deszczem często nas chłostał, wicher dął przejmujący... Charakter miejscowości również się zmienił. Coraz mniej było lasów i drzewa rosły coraz niższe, podlejsze. Trawy i zioła znikały, nie było widać kwiatów, zastąpiły je mchy. Szare i czarne opoki nadbrzeżne, płaczące od

wilgoci, kryły szczyty we mgłach. Te ciężkie, białe mgły, kłębiąc się, obsuwały się po skałach na samą rzekę, niby powietrzne wodospady. Wtedy ,,Królewna" z jasnych wód wpadała nagle w mroczne tumany, z których niespodzianie dla naszych oczów — wynurzały się tuż przed dziobem łodzi, ociekłe pianą i wodą, piersi niebezpiecznych ,,byków". Nasłuchiwaliśmy więc wciąż pilnie, co się dzieje w tych mrokach, gdyż mówiono nam, że w tych, mniej więcej, miejscowościach są na tej rzece ,,wielkie wodospady". Wobec powszechnego osłabienia, bardzośmy się ich lękali.

Deszcz, mgła, wichura wypełniały skalisty wąwóz, po którym wart-

ko mknęła lodowata rzeka, niosąc tu i ówdzie kry.

— Hm! Wygląda na to, że słońce nazawsze pozostało za nami! Teraz rozumiem, że płyniemy do bieguna! Ha, cóż robić!... — powiedział jeden z nas.

Łożysko rzeki robiło się coraz węższe, skały zbiegały się coraz bliżej i coraz mocniej ściskały nurt wody. Znikły wszelkie wyspy i wysepki, znikły mielizny, znikły nawet wąziuchne gzemsy u skał nadbrzeżnych. Gładkie, prostopadłe wiszary wzniosły się z obu stron wprost z głębiny mknącej z szalonym pędem rzeki. Wąziuchny, jak szczelina, skalny korytarz, wypełniała całkowicie groźnie pomrukująca, czar-

na, aż wypukła od pędu, woda... a w górze zwisały i kołysały się szarpane wichrem łachmany brudnych tumanów.

— Wszystko szare: skały, powietrze i woda! Nic nie widzę!... Przestańcie wiosłować!... — rozkazał sternik.

Wiosłowanie było zresztą zbyteczne, gdyż bieg rzeki wyprzedzał wiosła i te ciapały tylko bezsilnie wodę. Skały z obu stron zdawały się już nie prostopadle wznosić, lecz ku sobie pochylać. Migały w naszych oczach, jak kolumnada jakichś wrót piekielnych, zimnych, mokrych, niebłaganych. Festony mgieł z ich szczytów opuściły się jeszcze niżej, zawiesiły całkowicie przelot. Rwąca

woda niosła nas ze strasznym impetem.

— No, no, jeżeli teraz o najmniejszy trącimy kamyk, nie będzie czego zbierać i nikt stąd nie wyjdzie!... Ekstrapocztą dostaniemy się na tamten świat!... — zauważył sternik.

— Cicho!... Słyszycie wodospad?!... — krzyknął ktoś.

W głębi wąwozu, pod mgłami, coś wyło, huczało, kłapało, jak smok.

Od pędu wydało się nam że łódź stanęła, że jeno drga z przestrachu na miejscu, a ku nam pędzi z niesłychaną szybkością potężna, rycząca burza.

— Najsilniejsi do wioseł!... Cze-

kać komendy!... — krzyknął sternik.

Dwaj nasi siłacze ujęli za rękojeście podniesionych do góry wioseł. Reszta wygnańców, skupiona na dziobie statku, siliła się przebić wzrokiem mgły, aby dojrzeć nareszcie wroga. Nagle ujrzeli dziw: wysoki wiszar zamykał się i, zdało się, połykał rzekę. Snop bladego światła, padając z boku, niby z ukrytego za chmurą księżyca, kreślił tajemnicze znaki na ciemnych złomach gór, srebrzył skaczące u jej piersi piany i wodną kurzawę. Rzeka wpadała z rykiem pod czarne, zębate sklepienie...

— Prawem uderz, lewem zahamuj!... — zabrzmiał nagle głos ko-

mendy. Wiosła zanurzały się w rzecznym ukropie i wygięły, jak cienkie patyczki.

Gwałtowne szarpnięcie zwaliło nas z nóg. Nim zrozumieliśmy, co się stało „Królewna“ zawróciła prawie na miejscu, pochyliła się, trzasła, otarła o skałę i wybiegła z pod mgieł wbok, przez olbrzymie wrota, z pomiędzy dwóch opok wysokich, na szeroką równinę, zalaną słońcem i nakrytą błękitem...

Rzeka złociła się cała w blaskach pogodnego dnia i rozlewała szeroko z wesołym pomrukiem, jakby ciesząc się i oddychając ciężko po przebytych trudach. Góry na prawo uciekły daleko na zachód, a na lewo

zmalały, zaokrągliły się i płasko zbiegły ku rzece...

— Pomóżcie mi!... — rozległo się nagle wołanie.

Wtedy dopiero spostrzegliśmy, że niema sternika na miejscu, że trzyma go w objęciach jeden z załogi. Opuszczona rękojeść rudla, chwiała się niezdarnie.

— Uderzyła mię w piersi!... — mówił cicho sternik, starając się chustką wstrzymać płynącą mu z ust krew. — Musiało się dostać i „Królewnie" o skałę. Zobaczcie, czy wiele tam wody na dnie łodzi?!

Położyliśmy sternika na pościel, miejsce jego zajął kto inny, a reszta rzuciła się do pomp, gdyż istotnie woda zaczęła szybko wdzierać się

przez szczeliny do środka łodzi. Jeden z nas wpełznął pod tylni pokład, wyjął stamtąd rzeczy, podniósł poszycie z desek i zaczął szukać otworu. Gdy go znalazł, zatkaliśmy go naprędce szmatami.

— Łódź poprawimy dopiero nad morzem!... — postanowił drugi sternik.

Zaczęły się trafiać na brzegach rybacze osady. W paru zatrzymaliśmy się, aby kupić trochę ryb i dowiedzieć się, czy daleko do morza; mieszkańcy jednak uciekli, porzuciwszy wszystko, wystraszeni widocznie niezwykłemi rozmiarami naszej łodzi oraz widokiem uzbrojonych, nieznanych ludzi.

Rzeka potężna, szeroka, czarna

od głębokości, płynęła jednem korytem dość długo w wesołych, zielonych brzegach. Góry znikły, lasy znikły, z obu stron, jak okiem zajrzeć, ciągnęła się błotnista równina. Rzeka rozwidliła się znowu; skierowaliśmy się w prawą odnogę. Niski widnokrąg połyskiwał od szeroko rozlanych wód. Znowu zaczęły nam dokuczać wichry przeciwne, więc, aby nie tracić czasu, wzięliśmy łódź na linkę i poholowaliśmy ją wzdłuż brzegu.

Aż w piękne, słoneczne południe ujrzeliśmy nareszcie morze. Ziemia jakgdyby urwała się przed nami i otwarła błękitną przepaść, pełną złotych i modrych lśnień, migocących w słońcu. Nikły one, bladły,

rozpływały się w błękitach nieba, na którem bielał gdzieś bardzo daleko równiuchny sznur obłoków. Na niektórych zapalały się chwilami smugi i iskry ogni, i ostre kanty błyskały, jak klingi mieczów... Po ruchach i błyskach poznaliśmy je i okrzyk radosny rzuciliśmy w powietrze:

— Ocean!... Lody!...

Postanowiliśmy się zatrzymać przy samem ujściu rzeki, żeby mieć wodę słodką pod bokiem. Natrafiliśmy wkrótce na małą wysepkę i w cichej zatoczce wyciągnęliśmy naszą ranioną „Królewnę" na piasek, żeby obejrzeć dobrze jej pęknięcia i otwory i dobrze je załatać przed morską wyprawą. Jedni poszli zbie-

rać na opał drzewo, wyrzucone przez przypływ morza na brzeg rzeki, drudzy wyładowywali rzeczy i chowali je pod rozbity namiot, jeszcze inni poszli zarzucić sieci na ryby. Pracowaliśmy dzień cały, śpiewając wesoło. Żadne złe myśli, żedne przeczucia nie przychodziły nikomu do głowy. Po skończonej robocie, kiedy inni poszli spać, zarzuciłem dubeltówkę na ramię i w małem czółenku przeprawiłem się przez zatokę na sąsiednią wysepkę, gdzie wabił mię gwar ptasi, dolatujący stamtąd nieustannie.

Słońce opuściło się nisko nad samą ziemią i zaczęło toczyć się wśród mgieł po lodach, czerwone i ogromne, jak rozpalone koło żelaznego wo-

zu. Morze pomierzchło i oddzieliło się od nieba ciemną, siną linją. Na tundrze zagasły srebrne blaski rozświetlających ją wód i bajorów, ziemia zmartwiała i stężała. Powiało chłodem. Była to noc podbiegunowa, noc letnia, noc widna, kiedy słońce nie kryje się pod ziemię, lecz biegnie czas jakiś niziutko nad nią, aby powoli wznieść się niewysoko do góry, obejść strony świata wkoło i wrócić w to samo miejsce swego ranka na północ.

Gdy wylądowałem na wysepce, krwawe słońce już nic nie grzało. Zimny, porywczy wiatr zaczął dmuchać od morza. Spiąłem więc kurtkę zajęczą na piersiach, futrzaną czapkę wtuliłem głęboko na uszy i

ostrożnie pochylony skradałem się ku niziuchnym wzgórkom, skąd dobiegało mię stłumione gęganie i kwakanie. Zanim jednak dotarłem do niego, dostrzegły mię olbrzymie białe albatrosy, stada czajek wiecznie niespokojnie polatujących nad morzem i z ostrzegawczem kwileniem rzuciły się w moją stronę. Nie zwracałem na nie uwagi, cały pochłonięty dziwnym widokiem, jaki się przede mną otworzył. Na wierzchołku wzgórka, gdzie przypływ morza nie sięgał, zobaczyłem, jak okiem sięgnąć, szeregi gniazd ptasich, uwitych z traw i gałązek. Na gniazdach siedziały poważnie tysiące ptaków, pewnych swych praw i bezpieczeństwa. Bynajmniej nie zlękły

się mego widoku. Większość z nich spała. Niektóre z brzega otworzyły na chwilę senne ślepki, lecz natychmiast zamknęły je i wtuliły z powrotem szyjki w nastroszone piórka podgardli. Widocznie ani do głowy im nie przychodziło, żeby ktoś tu mógł je skrzywdzić. Wszystkie miały dziobki zwrócone w jedną stronę, gdzie między szeregami gniazd ciągnęły się wąskie, równo udeptane uliczki. Po uliczkach spacerowały, przewalając się z nogi na nogę, straże...

Całe olbrzymie ptasie miasto!...

Było tyle powagi, porządku i ufności w dobrą wolę sąsiadów w tem państwie pierzastem, że wstyd mi było zrobić użytek z broni. Przypa-

trywałem się ciekawie rozkładowi gniazdowiska i zauważyłem, że tęższe, mocniejsze odmiany ptasie i tutaj jednak zabrały sobie najlepsze, najsuchsze dzielnice... Były to po większej części te białe wielkie czajki, które stadem polatywały właśnie nad moją głową z przejmującem kwileniem.

— Nie będę strzelał do biednych kacząt, kulików i wodnych kurek, ale zabiorę trochę jajek tym drapieżnikom. Muszę przecież coś przynieść moim głodnym i chorym towarzyszom!... — pomyślałem sobie i skierowałem się ku szczytom wzgórka. Nie było tam łatwo się dostać, gdyż uliczki wśród gniazd były dość szerokie dla kaczek, lecz

za wąskie dla moich stóp, idąc więc, potrąciłem o dzioby tego i owego, co wywołało wielkie niezadowolenie, pisk i nawet trzepanie skrzydłami. Ścieżki zapełniły się rozbudzonemi ptakami, które coś sobie opowiadały głośnem kwakaniem. Gorzej, że w miarę, jak zbliżałem się do dzielnicy czajek, te ostatnie kwiliły coraz żałośniej i coraz niżej polatywały nad moją głową. Kiedy zaś, dopadłszy do ich gniazd, zacząłem zrzucać grube, tęgie „czajnice“ i zgarniać jaja, wszczął się nieopisany gwałt. Kwilenie zmieniło się w groźny skrzek, syczenie, krakanie... I nagle chmura ptaków z wielkim wrzaskiem poderwała się z ziemi i zakotłowała nade mną. Poczułem na

plecach uderzenia skrzydeł, jakieś dzioby uderzały mię w czapkę, jakieś szpony próbowały ją zedrzeć... Całe szczęście, że miałem ją rzemykiem podwiązaną pod brodą. Zrozumiałem jednak, że to się może źle skończyć, że trzeba się bronić... Dałem parę strzałów w wirujący nade mną ptasi huragan... ale bez skutku: huk zniknął w łoskocie skrzydeł, jakbym wystrzelił w pierzynę, parę sztuk zabitych spadło, nie robiąc na reszcie wrażenia. Owszem, natarły na mnie jeszcze zawzięciej i poczułem już krew na zranionych policzkach... Schwyciłem dubeltówkę za lufę i zacząłem oganiać się kolbą, jak kijem... Gdzie tam, chmara ptactwa gęstniała wkoło mnie

z każdą chwilą... Musiałem się ratować ucieczką. Zasłaniając rękami twarz od napastników, sadziłem wprost przez miasto ptasie, budząc tam jeszcze większy popłoch, gniotąc po drodze kaczki, jaja i gniazda!...

Czajki ścigały mię najdłużej i dziobały najzacieklej... Wreszcie i one dały mi pokój, odpędzone kilkoma strzałami. Ale długo, długo jeszcze słyszałem wrzaskliwy sejm w splądrowanem przeze mnie ptasiem mieście i długo jeszcze pojedyńcze czajki zataczały nade mną w locie piękne łuki, jakgdybym był upatrzoną przez nie dla połowu rybą... Jaj wszystkiego zdołałem zabrać ze trzydzieści sztuk... Było tego trochę za mało, postanowiłem więc zapolo-

wać gdzieś w innem, nie tak „zaptasionem" miejscu.

Doprawdy, wolałbym spotkać niedźwiedzia, niż wrócić znowu do tych przeklętych dziobaków! Poszedłem wprost przed siebie wgłąb wyspy. Błota tu były i bajora, porośnięte mchem i niskim, szorstkim szuwarem. Droga dłużyła się i skakałem z kępy na kępę, żeby dostać się na suchsze miejsce, gdziebym znowu może znalazł jakie ptasie miasto. Postanowiłem być ostrożniejszy i nie zrzucać samek z gniazd, lecz podbierać u każdej po kilka jajek... Wtedy może nie zrobią harmidru?! Zamiary moje jednak spełzły na niczem, gdyż anim się spostrzegł, jak mgła, przywiana wiatrem od

morza, zasłała szarym muślinem ziemię. Zwróciłem oczy w stronę, skąd płynęła i dostrzegłem długi, jak samo morze, wał tumanów, toczących się z lodowych pól przez sfalowane morze ku ziemi. Białe, jak wata, loczki i kłębuszki już dobiegły moich nóg...

— Trzeba wracać do łodzi! — pomyślałem. Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Wkrótce mgła już mi sięgała pasa i nie mogłem poprzez nią dojrzeć, gdzie stawiam kroki... Brnąłem więc, woda, nie woda, zapadając nieraz w błoto wyżej kolan, ślizgając się co chwila niemożliwie, gdy pod wodą i mułem, a nawet i pod mchem był lód...

Kiedym się wydostał na brzeg,

mgła już gęstą i grubą zasłoną pokryła wszystko. Poznałem, że mam przed sobą morze tylko po ryku fal i szklanym stukocie uderzających o siebie lodowców.

W tej nieprzeniknionej, mlecznej pomroce z trudem odszukałem swoje czółenko, lecz przeprawić się do swoich nie mogłem, gdyż wzburzone morze piętrzyło takie bałwany, że zatopiłyby mię natychmiast. Musiałem czekać. Aby uchronić się od przejmującego, zimnego wietrzyska, położyłem się na dno łódki i próbowałem zdrzemnąć. Nadaremno: huk morza, gwizd wiatru, zimno stygnącej na mnie przemoczonej odzieży nie dały mi oka zmrużyć. Patrzałem więc w górę na kłębiące się nade

mną białe mgły. Od czasu do czasu wiatr rozdzierał je i wtedy w otworach błyskało błękitne, zalane słońcem niebo. To mi dodawało otuchy: więc jest pogoda, a to tylko nawiane wichrem tumany, które miną, skoro się wiatr odmieni!

Gdym tak się pocieszał, dostrzegłem niespodzianie na tych mgłach skłębionych, niby na białym ekranie czarnoksięskiej latarni, olbrzymie postacie w futrzanych czapach z karabinami i łukami w ręku, myśląc że to sen!...

Lecz nie był to sen: istotnie, pogoń dopędziła nas nad brzegiem morza; kozacy i jukagirzy w czasie mgły otoczyli nasz obóz i wzięli nas do niewoli...

Tak się skończyła nasza wędrówka śladem ptaków przelotnych. Wróciliśmy na stare miejsce wygnania na długie lata. Wszystkim wygnańcom dała wolność dopiero Wielka Wojna, w czasie której wywalczyliśmy Niepodległość Ojczyzny!...

KONIEC

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Dary wiatru północnego

Cena zł. 3.—

Ta piękna opowieść wielkiego pisarza stoi na pograniczu bajki i powieści fantastycznej; elementy baśniowe rozwijają się tu w przedziwny sposób na tle pięknie odtworzonej góralszczyzny, a wędrówka małego Tomka w poszukiwaniu źródła wiatru północnego, obfitującego w najrozmaitsze perypetje, stanowi lekturę o nieodpartym uroku zarówno dla młodszych dzieci, jak i dla dorastającej młodzieży.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

WACŁAW SIEROSZEWSKI

WŚRÓD KOSMATYCH LUDZI

Cena zł. 1.20

W roku 1900, już po kilkunastoletnim pobycie na Syberji, Wacł. Sieroszewski został ponownie aresztowany i zesłany na Daleki Wschód. Z poprzedniego zesłania przywiózł dzieło nagrodzone złotym medalem T—wa Geograficznego, — monografję o Jakutach; tym razem udał się, wraz z Bronisławem Piłsudskim do kraju Ainów,—dziwnego a niezbadanego dotychczas szczepu „kosmatych" ludzi. Książka niniejsza— to piękne wspomnienie swej podróży, opis osobliwej kultury Ainów, ich obyczajów i wierzeń, ich walk z przeważającą siłą Japończyków.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J"

WACŁAW SIEROSZEWSKI

ZE ŚWIATA

Cena zł. 3.—

Tom Wacława Sieroszewskiego „Ze Świata“ — to najmilsza najbardziej porywająca, a przytem pouczająca i mądra lektura dla młodzieży. Dzieje wyprawy uwięzionej wśród lodów bieguna północnego, jej tragiczna i bohaterska wędrówka po rozbiciu statku przez kry lodowe — to najlepsze karty literatury podróżniczo—zdobywczej. Znakomite obrazy polowania na reny i wieloryby, piękny obrazek z Dalekiego Wschodu p. t. „Kulisi“ i wreszcie większa powieść, już nie w tak dalekie sięgające strony, — „Latorośle“. tworzą razem arcyciekawą, pięknie napisaną i zawierającą mnóstwo faktycznego a cennego materjału całość.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J“

ZOFJA KOSSAK

POŻOGA

Cena zł. 3.—

„Pożoga" Zofji Kossak-Szczuckiej — to obraz zmagań i walk polskości z zalewem bolszewickim na Ukrainie. Powieść ta, która ukazała się w okresie powojennym, była rewelacją wielkiego talentu powieściopisarskiego Kossak-Szczuckiej. Znakomity rozmach epicki, niespotykany w całej literaturze współczesnej, nasuwał nieodparte porównanie z Sienkiewiczem. Bo też niezwykła plastyka postaci, wspaniałe wyczucie obrazu, pełnia i soczystość stylu „Pożogi" istotnie sięgają szczytów sztuki pisarskiej.

Nowe wydanie „Pożogi" — po szeregu dzieł, które wysunęły Kossak-Szczucką na naczelne miejsce — jest już wydaniem dzieła, posiadającego trwałą i niezapomnianą kartę w historji polskiej literatury, ale jednocześnie jest to książka nawskroś współczesna. Bo obraz, jaki maluje — to obraz nieomal dni dzisiejszych, obraz, który mimo tych lat kilkunastu nie zatracił nic ze swej żywości — jest tak samo pełny, wzruszający i wspaniały.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J"

HALINA GÓRSKA

Nad czarną wodą

Cena zł. 3.—

Powieść ta opisuje powstanie i dzieje pewnego bardzo dziwnego „klubu"—klubu dzieci z warszawskiego Powiśla. Jakkolwiek pisana przez osobę dorosłą i w innych kształconą warunkach, — uderza ona przedewszystkiem szczerym i prostym stosunkiem do swych dzieci i zupełnem zespoleniem się z niemi. Niema w niej nic ani z fałszywego sentymentu do dzieci, ani z zakłamanego protekcjonizmu wobec proletarjatu; wydaje się, że kronikę tego klubu tworzyli i pisali wszyscy jego członkowie. A kronika to bogata i szczególnie interesująca; dla młodego czytelnika znajdzie się w niej wiele zabawnych lub pełnych emocji perypetyj, — dla dojrzałego zaś wychowawcy, ojca czy nauczyciela, — wiele przemyślanego materjału z dziedziny zagadnień wychowania.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

HALINA GÓRSKA

DRUGA BRAMA

Cena zł. 4.—

Książki Haliny Górskiej są książkami nietylko dla młodzieży, lecz także i o młodzieży i dlatego trudno jest przylepić na nich etykietę — do lat szesnastu. Może je przeczytać z równem zainteresowaniem czternastoletni chłopak czy dziewczyna, jak człowiek dorosły. Problem, który zdaje się najbardziej pochłaniać autorkę to psychologja wieku dojrzewania. Dojrzewanie to nie jest jednak pojęte wyłącznie jako budzenie się instynktu płciowego. Autorkę zaciekawia raczej chłonna wrażliwość tego okresu, burze, rozczarowania i wzloty z nią związane, tęsknoty, porywy i załamania kształtujące psychikę człowieka.

Życie i historja przyjaźni dwóch dziewczynek, Krysi, dziecka inteligencji, obdarzonego fantazją twórczą, przewrażliwionego i nawet nieco histerycznego i proletarjackiej dziewczynki Adeli, przedwcześnie dojrzałej i trzeźwej, niosącej odważnie bez złudzeń i bez wewnętrznego zakłamania, ciężar swego twardego życia — oto treść tej książki.

A mimo, że nie zataja ona tragicznych konfliktów życia, zachowuje wobec niego obronną postawę i — uśmiech. Czasem wesoły, trochę smutny.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J“

JANUSZ MEISSNER

Autor, kapitan — pilot, daje szereg świetnych powieści lotniczych:

ESKADRA (wyczerpana)

4.300 KILOMETRÓW . . . . zł. 6.50

LOS . . . . „ 5.—

LATAJĄCY DJABEŁ
(Nowa serja „Roju") . . . . „ 3.—

SZKOŁA ORLĄT

II wydanie, cena zł. 5.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J"



PRINTED IN POLAN

„DRUKARNIA BANKOWA", W-WA, MONIUSZKI 11